

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 9 września 1916 roku.

№ 37.

HAJOTA.

PASEMKO.

2

Czas mijał.

Senna, przedwieczorna cisza niedzielną wisiła nad wypoczywającą ziemią. Odgłosy świętującego miasteczka milkły w pół drogi; raz tylko ostry gwizd lokomotywy rozdarł powietrze i z głośnym klangorem przemknął górą klucz żórawi, niepokojem wczesnego odlotu niesiony.

Zacytana kobieta nie odrywała oczu od książki.

Nie spostrzegła też, że na ścieżce, którą tu przyszła, mającej coraz wyraźniej jakąś postać; nie usłyszała suchego skrzybotu kroków na piasku i aż drgnęła, gdy głos męski, bardzo przecież ostrożnie i powoli, by jej nie przestraszyć, wymówił:

— Przepraszam panią.

Złęka się jednak. Z nagłą falą krwi na policzkach podniosła oczy i zobaczyła stojącego poniżej wznieślenia, na którym siedziała, mężczyznę.

Trzymając w ręku kapeluszą słomkową o szerokich kresach, którym zapewne jego rozumne, energiczne czoło zawdzięczało swą aż rażącą przy mocno ogorzałej twarzy białość, pochylał ku niej głowę w pełnym uszanowaniu i życzliwości ukłonem.

Niemłody był, silnie zbudowany, o rysach grubych i pospolitych. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie przeciętnego wiejskiego obywatela; tylko wzrok jego uderzał głębokością wyrazu, znamionującego badacza i myśliciela, a ręce miał muzyka lub chirurga, nerwowe, o dziwnie giętkich i cienkich, w przeciwieństwie do reszty kształtów, palcach.

Nowela.

przypuścić mogłem, że pani... bo że ja...

Urwał. Coś jakby iskra rozmazającego wspomnienia mignęło w jego szarych, przenikliwych oczach.

Zauważyła to, i musiała zrozumieć, co iskra ta znaczyć mogła; musiała przypomnieć sobie nie tylko tego człowieka, lecz i to, co jej tamten, ukochany a dziś już nieżyjący brat opowiadał niegdyś, gdy już była mężatką, o cichej, beznadziejnej miłości ubogiego studenta, który teraz dorabiał się sławy pierwszorzędnego chirurga, lecz który wówczas nie śmiał nawet podnieść oczu na córkę bogatego domu i jedną z najpiękniejszych panien w stolicy.

Tak; widocznie przypominała sobie to wszystko, spłonęła bowiem znowu dziwnie dziewczym przy jej swych włosach rumieńcem, i aby ukryć zmieszanie, rozpostarła szybko plec w całej długości, zarzucając go na sąsiednią kępę wrzosów, i rzekła z wytwornym ruchem damy, przyjmującej gością w swym eleganckim salonie:

— Proszę, niech pan spocznie.

Usiadł; i dłuższą chwilę milczeli, jakby oszołomieni nagłością i niezwykłością tego spotkania, po tylu latach, w tym lasku, naprzeciwko tej małej mieściny.

Obojgu też krążyło po głowie zdumione pytanie: „Skąd ona się tu wzięła?” „Skąd on się tu wziął?”

Kobieta przemówiła pierwsza:

— Pan się dziwi, że ja przypominałam sobie pana; ale to ja raczej powinnam się dziwić, że pan mnie poznał, po tak długim niewidzeniu i kiedy tak bardzo się zmieniłam.

— Bardzo; niebardzo — odpowiedział. — Jest w pani powierchowości coś, co stanowi pani wyłączną własność i co nie zmieni się nigdy, przynajmniej dla tych, którzy to coś dojrzeć umieli...

— Przepraszam panią — powtórzył jeszcze miększym głosem — przepraszam za moje niespodziane najście, ale wszak się nie mylę, wszak mam zaszczyt mówić do pani ***, dawniejszej panny Kamilli ***?

Teraz szałimowe oczy kobiety, piękne jeszcze, choć jakby splukane i nabrzmiałością zmęczonych powiek w rysunku skażone, wyraziły już nie przestach, lecz połączone z pewnym zakłopotaniem zdziwienie.

— Tak, to ja jestem — odrzekła — i z koleją wypada mi przeprosić pana, bo —

Mężczyzna skłonił się znowu i parę kroków bliżej przystąpił.

— Ależ, naturalnie — zawołał z uśmiechem, który tę twarz brzydka niemal i surową uczynił w jednej chwili ogromnie pociągającą — byłem na to przygotowany, że świetna królowa salonów nie mogła zapamiętać w tłumie swych wielbicieli nieśmiałego studenta medycyny, kolegi i przyjaciela jej stryjecznego brata, Władysława —

Nie dała mu dokończyć. Z tą gibką żywością, która ją tak młodą czyniła, powstała, wyciągając do niego rękę.

— Pan się myli — rzekła uprzejmie. — Przypominam sobie teraz pana bardzo dobrze. Pan bywał dosyć częstym gościem w domu rodziców moich z kochanym Władziem. Pan Tadeusz K*** prawda?

Schyłając nisko głowę, porośniętą gęstym, rudawo-blond, na jeża przystrzyżonym włosom, podaną rękę z szacunkiem do ust przyłożył.

— Tak, pani. To więcej, niż

Zamilkli znowu; a teraz on zaczął po chwili.

— Wróciłem onegdaj po kilku tygodniach nieobecności i przechodząc wczoraj drogą, zobaczyłem panią siedzącą na ganeczku. Odrazu wiedziałem, że to pani, wydało mi się to jednak tak nieprawdopodobnym, że nie śmiałem się zbliżyć, nie będąc zupełnie pewnym. Dziś dopiero zaciągnąłem informację; od gospodyni domku i od niej też dowiedziałem się, że pan poszła do lasu. Więc podążyłem za panią i oto jestem.

Słuchała, uśmiechając się zlekka.

Widocznie, głos mężczyzny, nerwowy i giętki, jak jego palce, działał na nią w podobny sposób, jak książka, którą przedtem czytała.

— Pan powiada, że pan wrócił — zauważyła. — Więc pan tu mieszka?

— Tak, pani. Jestem tutejszym doktorem.

— Ach! — zawołała niemal radośnie, sama zdziwiona, że ją to tak ucieszyć mogło. — Więc to pan jest tym „naszym panem doktorem“. O którym tyle opowiadała mi moja gospodyni? Skądże mogło mi to przyjść do głowy, kiedy, naprzód, wiedziałam od Władka, że panu taka świetna gwiazda sławy zajaśniała w Warszawie, a powtóre nikt tu nazwiska pana nie wymienia; tylko wszyscy mówią „nasz doktor“, „nasz dobrodziej“, „nasz opiekun“.

Uczył ręką ruch powstrzymujący.

— Niechże mnie pan nie zawstydzta tą litanią — przerwał żartobliwie. — To onj raczej są mymi dobrodziejami. Panj wspomniała, że w Warszawie powodziło mi się świetnie; być może — ale dopiero w tem miasteczku znalazłem spokój i zadowolenie.

Czysto po kobiecemu chciała go zapytać: „Czy i szczęście?“, lecz coś ją wstrzymało. Pomimo tej równowagi duchowej, o jakiej mówił i jaka malowała się w jego rysach, nie wyglądał na szczęśliwego. Na dnie tych głębokich szarych oczu, w układzie energicznych ust pod przystrzyżonym krótko, znacznie ciemniejszym od włosów wąsem czaił się wyraz, znamionujący, że ten człowiek wiele w życiu przecierpiał.

Teraz jednak uśmiechał się, i siedząc niemal u stóp wgłębionej w leśny fotel leśnej kasztelanki, pogodnie na nią spoglądał.

— Wylegitymowałem się tedy — mówił dalej. — Ale pani.. jakim sposobem panią tu odnajduję, jeżeli wolno spytać?

Jego przyjazny, prawie wesoły nastrój i jej się udzielił. Uśmiechnęła się.

— To już panu zawdzięczam,

— Mnie?

— Tak; a raczej letniskom przez pana urządzonym. Przyjechałam tu jako letniczka.

— Tak to sobie tłómaczyłem, ale —

Badawcze jego spojrzenie przesunęło się po całej jej postaci tak wytwornej w liniach i układzie; po jej ubraniu starannem, lecz prawie ubogiem i zatrzymało się dłużej na nicianych, troskliwie pocerowanych rękawiczkach.

Zrozumiała ten milczący przeгляд i uśmiechnęła się znowu, tym razem smutno.

— Pan chciałby powiedzieć, że to są letniska przeznaczone dla ludzi niezamożnych... Właśnie dzięki temu mogłam tu przyjechać.

— Pani?

— Tak. Straciliśmy majątek.

Nie chciała powiedzieć, że stracił go jej mąż, którego karciana namietność i hulaszce usposobienie zatruło jej życie, a jemu długoletnią chorobę i przedwczesną śmierć sprowadziło.

Nie chciała, bo nawet przed sobą samą starała się nie myśleć w ten sposób. Teraz, gdy ten ukochany pomimo wszystko mąż już nie żył, pamiętała tylko, że kochał ją po

swojemu i że w pierwszych latach pożycia była z nim szczęśliwą.

Zciszonym lecz spokojnym głosem mówiła dalej:

— Owdowiałam; rodzice moji dawno umarli, a jak panu wiadomo, byłam jedynaczką; dzieci, niestety, Bóg mi odmówił; zostałam więc zupełnie samą na świecie i muszę pracować, aby żyć...

— Pani? — powtórzył znowu.

— W tem ostatniem nie byłoby nic tragicznego, tylko... że nie bardzo umiem pracować! Przyszło to na mnie w porze, kiedy już zapóźno rozpoczynać nowe życie. Łatam więc terażniejszość pozostałościami przeszłości. Daję lekcye muzyki; tłómaczę z obcych języków, o ile się taka robota znajdzie, bo o nią bardzo trudno; haftuję też wieczorami. Wszystko to są bardzo marne zarobki, a jak dla mnie, nieprzygotowanej do pracy na chleb, bardzo ciężkie, bardzo wyczerpujące. To też musiałam koniecznie zdobyć się na dłuższy odpoczynek, a że tu wypadło taniej, niż gdzieindziej, więc jestem już od dwóch miesięcy i jeszcze parę tygodni pozostanę. Bardzo mi tu dobrze — dodała z mimowiednym w głosie oddźwiękiem, który przeczył temu zapewnieniu.

Dokończenie nastąpi.

STEFAN KIEDRZYŃSKI.

Nowela.

Przerwana idylla.

6

Ksiądz skrzyczał ją zaraz, a Morawski z równym jego gniewowi zapałem bronił „dziewczęcych sentymentów“. Nieco skwaszeni wrócili na blebanię, gdzie Morawski pożegnał się z proboszczem, a Piotr żegnał się obojętnie z Hanią przy księdzu, zaś nie omieszkał w cieniu werandy musnąć ustami jej szyi. Uścisnęła mu dłoń, jakgdyby mówiła: „Pamiętaj“ — lub „kocham“, przyoblekając jednocześnie swoją dziecianną twarz uśmiechem promiennym miłości.

Po opuszczeniu plebanii Morawski wziął syna pod rękę i mocnym krokiem wracali do domu tą samą drogą, którą kilka godzin temu szedł z Hanią i słuchał jej opowiadania o Trusi.

Teraz, idąc koło niego, czuł ichą radość, obejmującą jego serce słodkim obłokiem niewypowiedzianej błogości. Były chwile, kiedy nie wierzył, że jest to rzeczywistość, iż nagle tak dziwnie i niespodziewanie przyjechał Piotr, do którego tęsknił

przez długie wieczory, wymawiając imię syna drżącymi wargami. I oto, w tej chwili idą razem koło siebie. I może go objąć ramieniem, przycisnąć do serca i powiedzieć: Piotruś, wiedząc, och! rozkoszując się tą niezbitą pewnością, że miłością brzemienne słowa nie giną w pustce, nie toną w mrokach ogrodu. I nie mogąc zapanować nad tym uczuciem, starzec przystanął i objął głowę syna rękoma. Przycisnął usta do jego białego czoła i stał tak czas jakiś w świetle księżycy nieruchomo, objęty wzruszeniem, z oczyma pełnemi szklistych łez. Wówczas Piotr bez słowa pochwycił jego koczistą rękę i przyłgał do niej wargami. Długo trzymali się w objęciach, spleceni mocnym, gorącym uściskiem, nie mówiąc nic, zduszeni, prawie odmienni wewnętrznym żarem kochania bez miary. Była to chwila, w której Morawski w całej potędzie czuł wielkie, nieobjęte rozumem przywiązanie do syna. W morzu tego uczucia tonął, omdlewając

z radości, czując sercem bicie jego serca.

— Na długo przyjechałeś? — wyszeptał wreszcie, patrząc rozkosznym wzrokiem w jego oczy.

Lecz Piotr zmieszał się i zawałał, jakgdyby to proste pytanie zaskoczyło go i zdziwiło nieprzyjemnie. Po długiej chwili wykrztusił, nie patrząc, a raczej omijając jego spojrzenie.

— Dostałem urlop... na trzy tygodnie.

— Przez trzy tygodnie będę razem z tobą — rzekł głosem przepojonym radością. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę! Już myślałem, że nie przyjedziesz nigdy.

— Co ojciec mówi! — zaprotestował.

I zaczęły się marzenia. Z ust starego płynęły słowa, przepojone żalem, radością, tęsknotą i tryumfem. Po chwili, całując syna w głowę, opowiadał o dniach swojej udręki, kiedy przywoływał go krzykiem swego serca, omdlewając w samotności.

— Bo widzisz, mój drogi chłopcze — mówił — jestem już stary i nie mogę tak do całych dniach siedzieć sam. Czasami, zwłaszcza, kiedy sobie przypominę nieboszczkę twoją matkę, chciałbym mieć ciebie przy sobie. A tu jestem sam. Ach, doprawdy, straszne wtedy przychodzi myśli. Dlaczego nie byłś tak cawno?

— Nie mogłem — odpowiedział wymijająco.

Od tej chwili jednak nie rozstawali się prawie wcale. Dla Morawskiego rozpoczęły się dni pełne radości, dni, do których tęsknił i marzył oddawna. Chodzili więc razem, jak za dawnych czasów, siadywali w lesie, lub kładli się oboje na gorących, piaszczystych wydmach — i stary opowiadał synowi o swoim życiu, o samotności, tęsknocie i o tych wszystkich cichych, bolesnych tragediach, które przeżywał od lat dalekich w swoim małym domku.

Piotr słuchał uważnie, zazwyczaj nie mówiąc nic, zapatrzony w ginące na widnokręgu obłoki, albo zręcznym zwrotem przesuwając myśl oja ku terazniejszości i wymawiał imię Hani. Wówczas stary rozpalał się i mówił o niej z entuzjazmem, w gorących słowach opisując jej dobroć, piękność i czystość duszy. Aż wreszcie pewnego dnia powiedział wyraźnie, iż największym jego marzeniem jest, aby Piotr postarał się zdobyć jej miłość — i ożenił się. Na Piotra wyznanie ojca uczyniło niespodziewanie silne wrażenie. Pobladał gwałtownie i spojrzał na niego spłoszonym wzrokiem, pełnym cichego, utajonego lęku. Nie wypowiedziawszy słowa, zapadł w głębokie zamyślenie i nie ujawnił swego stanowiska w tej sprawie, unikał potem już rozmowy o nic. Natomiast starszek coraz wy-

rażniej widział (jak również i proboszcz), że Piotr kocha piękną dziewczynę i jest przez nią kochany. Stary szlachcizem w długich rozmowach z księdzem przekonał go o statecznie, jak wielką radością byłoby dla wszystkich nie rozstawać się ze sobą. Projektował, że wracając ich ślubu zamieszkają razem, Piotr się postara o posesję w pobliskiej okolicy i będą żyli koło siebie do śmierci.

Podobne myśli, upragnione i kochane przez starego, wprowadzały go w stan upojenia. Widząc zaś ich miłość coraz wyraźniejszą i gorętszą, miał szczerą nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży i jego marzenia, zrodzone w nęce samotnej i tęsknocie, obklejły się wreszcie w szatę rzeczywistości. Tymczasem, istotnie, postępowanie dziewczyny i Piotra było przepojone miłością. Każde ich słowo, każde spojrzenie tchnęło cichem, głębokim uczuciem, płonął zarem kochającego serca, a w każdym tajemnym uścisku dłoni czuli oboje gorącą, rozplamioną krew, bijącą do głowy porywem szaleństwa. Proboszcz, widząc tę miłość tak wielką, czasami wyrażał obowiązkowe obawy — przeważnie jednak cicho wzdychał i zamyślał się, lub opowiadał Morawskiemu dawne swoje dzieje, kiedy, jako młody chłopiec, „i jeszcze smyk-student“, zakochał się w pewnej panience, „która śpiewała, jak syrena“ — obaj mówili o tem, jak o minionem i nigdy już niepowrotnem dla nich szczęściu, odradzającym się jednak przed ich oczyma w sercach Hani i Piotra. Z tego też zapewne powodu — zakochani mieli nieco swobody — i mogli spacerować razem, trzymając się pod rękę, szepcząc przyciszonym głosem, lub mówiąc oczyma, tonącymi w sobie — w milczących godzinach. Tak przeszło kilka tygodni. Stary Morawski, wiedząc, że za kilkanaście dni upływa już termin urlopu Piotra, zaczął się nieco niecierpliwić i dawać do zrozumienia synowi, że powinien się oficjalnie oświadczyć proboszczowi o rękę jego siostrzenicy. Piotr jednak pomijał tę radę tajemniczym milczeniem, zmieniając przedmiot rozmowy, lub wychodząc poprostu z pokoju. Natomiast z dnia na dzień, z godziny na godzinę — jego uczucie do Hani rosło, potężniało, rozwijało się coraz bardziej. Powoli zaczął ojca zaniedbywać na jej korzyść, opuszczając go na całe wieczory, przepędzane z nią w ukryciu przed blaskiem księżyca, lub przeciwnie, spacerując po zalanej jego srebrnym blaskiem polanie. Często dziewczyna, przytulając się do jego ramienia, głosem cichym, przepojonym łzami rozczewnienia, zapewniała go o swojej wielkiej, przeogromnej miłości, chociaż on zapewnił tych już nie potrzebował, czytając w jej niebieskich, słodkich oczach

beźmiar tego uczucia, które i jego również obejmowało upojeniem bez miary. Na każde jej: kocham — odpowiadał — to samo przedziwne, czarujące słowo, czując przyśpieszone bicie jej serca, zrywającego się do lotu, jak ptak spłoszony lub zapadającego w omdlenie, pełne szczęśliwości. Tak przechodziły dni i tygodnie. Termin urlopu, wiadomy Morawskiemu, skończył się już dawno, a Piotr nie opuszczał Wiśnicy. Morawski, niespokojny nieco o jego posesję w biurze, zapytał wreszcie, jak myśli sobie poradzić, ale Piotr uspokoił go zapewnieniem, że termin ten był warunkowy — i od niego tylko zależało go przedłużyć, o czym zresztą dyrektor biura był powiadomiony i uprzedzony. Tak uspokojony starzec, zadowolony, że się jeszcze z synem nie rozstaje, przestał o tem myśleć. Piotr również, zajęty swoją miłością, więcej nie wspominał już o urlopie i swoich obowiązkach w biurze, przepędzając każdą chwilę w towarzystwie Hani. Z czasem stosunek ten, przez proboszcza w milczeniu aprobowany, był jakgdyby oficjalnym narzeczeństwem, z czem ani on, ani ona się już nie ukrywali. Natomiast Morawski, jak zwykle, snuł plany na przyszłość, i przy partyi domina z proboszczem radzili razem o ich przyszłym losie, w głos chwalać oboje na zmianę. Ksiądz podziwiał jego takt, inteligencję, urodę, wreszcie stanowisko w biurze, gdzie, pomimo młodego wieku, zdobył sobie tak wielkie uznanie, iż dano mu trzymiesięczny urlop, co się przecież nie każdemu przytrafia. Morawski zaś zachwycił się jej pięknnością, czystością serca, urokiem młodości. Wreszcie oboje się zgodzili na jedno, że tak dobranej pary — dawno świat i korona polska nie widziała. Tymczasem lato dobiegało ostatnich swych dni. Przyszłał wrzesień o chłodnych wieczorach i rankach, złocąc liście drzew, pachnących grzybami po leśnych wyrwach. Morawski, nie mogąc się doczekać, aby Piotr sam oświadczył się o Hanię, począł trochę nalegać, aż wreszcie pewnego dnia powiedział mu otwarcie, że już jest wszystko z proboszczem uradzone i że nie powinien obawiać się odmowy. Piotr zgodził się odrazu, nie ujawniając jednak tej radości, jakiej się starzec spodziewał. Przeciwnie. W pierwszej chwili pobladał i zmienił się dosyć wyraźnie, dopiero, po długiej chwili milczenia rzekł głosem chwiejnym, niepewnym, prawie ze smutkiem:

— No, dobrze, naturalnie. Myślałem o tem oddawna.

Dalszy ciąg nastąpi.



Filemon i Baucis.

Na starem płótnie, gdzieś na strychu
Filemon z Baucis stoją w cieniu...
Łagodna starość się pocichu
Śmieje w ich zgasłych ów wejrzeniu —

Lecz do mnie młodość się ich śmieje,
Zgubiona w długich lat szarudze...
Poemat krótki... Mam nadzieję,
Że tylko głuche serca znudzę!

Filemon z Baucis żyli razem
W niewielkim domu blisko morza...
Z piękności — Baucis mu aniołem,
Z wierności — jako złota zorza...
Co codzień wraca na niebiosa,
A miłująca jako rosa,
Co białym rankiem rzeźwi kwiaty...
On żeglarz był, i niebogaty,
Lecz jako nigdy nikt szczęśliwy,
Bo żaden człowiek w świecie żywy,
Którego duchy przodków strzeża,
Nie był tak nigdy ukochany,
Przez serce czule miłowany,
Jak miłowała Baucis jego!

Raz przyszło siedmiu królewiczów,
Najpierwszych w kraju tym szlachciców,
Wszyscy upadli jej do nóg,
(Tak miłosterny kazał Bóg):
I rzekli — „Baucis — jasna różo,
Królowie — patrzaj — tobie służą —
Do twoich białych padli nóg
(Tak im rozkazał dobry Bóg): —
Błagają ciebie — bądź królową;
Jutrenką dla nich bądź różową,
Bądź dla nich słońcem — jasną perła,
Koronę dają ci i berło“.

A na to Baucis rzecze skromnie:
— „Naprawdę przyszlście tu do mnie.
Czternastu takich królewiczów,
Walecznych, jako wy, szlachciców,
Filemonowi memu służy“...

I rzesza królów oburzona
Odeszła, szepcząc:
„O szalona,
Szalona Baucis w swej miłości!
Coś się jej marzy, coś się śni!
Filemon prostym marynarzem,
To robić musi, co rozkażem...
Baucis z zachwytu królów drwi,
Nie chce tak zacnych uczcić gości!
Nie chce na złotym zasiąść tronie,
W płaszczu szkarlatnym i koronie!

Odeszły króle i rumaki,
Kapiące złotem i purpurą,
Jako ogniście płoną maki
Proporce, wiewające góra...

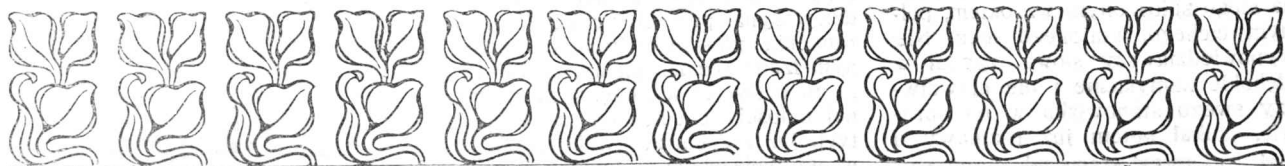
A tam — w oddali — z innej strony
Filemon wraca ulubiony —
On Baucis światem, on nadzieją,
Jej oczy słońcem się doń śmieją:
„Były tu króle czystej krwi,
Ale największym królem — ty!“

Siedziała, patrząc na rozdroże,
W dni nadchodzących patrząc zorzę,
Czekała cicha i wzruszona,
Co powie dusza Filemona,
Zanim go znowu wróci morze,
Patrzyła w dni, co idą, zorzę...

I kroczył cichy jasny dzień,
Złotego słońca pełna sień
Śpiewała jako harmonika — — —
Wieczorem świerszczyk smętnie strzyką —
Za oknem biała, głucha noc,
Do okna przypętlł wąż ogromny
I rzecze:

— „Baucis, jam bezdomny —
Łbem biję w okno: „Otwórz mi —
Znam najtajniejsze twoje sny —
Wiem, że ty kochasz Filemona!
O Baucis, Baucis — tyś szalona!
Ja morzem władam i gwiazdami
I w ogniu błyskam złota skrami,
W potoku płynę szumną wodą!
O Baucis, jakże jesteś młoda!
W twych oczach dwie mieszkają zorze!
Jako konwalia pachniesz w borze!
Co serce w noc ponurą marzy,
To znajdziesz, Baucis, na mej twarzy:
Dreszcze, alarmy, przerażenia,
Pioruny, wrzaski i olśnienia!
O Baucis, nachyl białą szyję,
Posłuchaj, jak me serce bije,
Jak biję serce zimne węża,
Ono odrętwią i zwycięża!
Pokochaj mnie na jedno mgnienie,
Będiesz kochala nieskończenie!
Będiesz wciąż gietka jako chmiel,
Nie zwiednie ramion twoich biel!
Nie dotknie śmierci ostateczność,
Przeze mnie znajdziesz, Baucis, wieczność!

Dokończenie nastąpi.



Życie jest piękne.

Pan Antoni wychodzi na ulicę, zjada trzy irysy — sześć kopiejek całe śniadanie! — i ciągnie na Esplanadę 3 maja. Na porcyę słońca..

Pogoda upajająca. Przewiewna, jak marzenie pospolitaka II rzędu o rychłym pokoju, to znów gorąca, jak tęsknota sklepikarza do długiej, bardzo długiej wojny...

Ludzi niewiele, turkotu żadnego: idealne *far niente!*

Jeszcze dwie „ciągawki“ dla zabicia apetytu! Co za świetny wynalazek wojenny. Koszt taki mały a co pożytku! Rozproszenie myśli, pożywność, osłoda...

— Dawajcie, kobietko, jeszcze jednego!

Nie, życie nie jest jeszcze tak zdecydowanie podłe...

Jakby w odpowiedzi, wyrasta przed panem Antonim twarz przyjaciela, ukwiecona bajecznym uśmiechem zadowolenia.

— Powiadam ci, Antoś, nadzwyczajne odkrycie! Na Powiślu znalazłem szewca, który robi zelówki po sześć i pół rubla za parę! Jak cię kocham! Tylko sześć i pół! A wiedz, przyjacielu, że w październiku buty będą kosztowały 50 rubli!

I chce odejść rozpromieniony. Ale wraca się jeszcze.

— Apropos, muszę ci także dać adres krawca. Niebrzydkie, skromne ubranko 100 rubli! Wiedz, że za takie samo w listopadzie zapłacisz 150! Daję ci słowo!

Odchodzi, śmiejąc się ze szczerem ukontentowaniem.

Przyjaciół nie brak na każdym kroku, nawet podczas wojny. Jednego wesołego przyjaciela luzuje wnet drugi...

— Antoś, chodź, przejdziemy się po pieniądzach.

Antoś nie odrazu zorientował się, o co chodzi. Ale okazało się, że to rzecz bardzo prosta. I bardzo przyjemna. Wchodzi się na Nowy-Swiat albo na Marszałkowską i staje co druga wystawa.

Tu sto tysięcy marek, tam dwieście tysięcy koron, tam znów pięćdziesiąt tysięcy rubli, a tam aż cały milion!... Ham-burska loterya, węgierska, saska, krajowa... Dziś, jutro, za trzy dni, za miesiąc!... Boże, co szczęścia po wystawach sklepowych! Nigdy go chyba nie było tyle w Warszawie, co podczas wojny!...

Nie, życie naprawdę nie jest tak podłe — — —

Ale pana Antoniego ściska dyskretnie w dolku. Nachyla się więc niemniej dyskretnie ku przyjacielowi i szepce:

— Pojmujesz... koniec miesiąca... możebyś mnie tak zaprosił na skromny...

Les beaux esprits se rencontrent — zwłaszcza w nieszczęściu. Przyjaciel właśnie o to samo chciał zagadnąć pana Antoniego!

— Kiedy tak, to ja ci funduję obiad, na tym nie jeszcze stać! — decyduje się bohaterko pan Antoni.

I prowadzi przyjaciela do najbliższej kobiciny z pudełkiem.

— Dziesięć sztuk po dwie kopiejki dla pana i dziesięć dla mnie!

W dobrą godzinę, przyjaciel występuje z rewanżem.

— Stawiam ci koncert! Chodź.

Recepcya na placu wspaniała. Moc znajomych. Przyjaciel płaci za obydwóch po „groszu na biednych“, poczem obaj przysuwają się do pani Karolowej, prześlizniętej żony trzeciego przyjaciela.

Przy dźwiękach barkaroli Offenbacha wszczyna się konwers. Dama oblewa przyjaciół czarującym uśmiechem szczęścia i rzecze:

— Ognomną mamy drożynę.

— A tak... — odpowiadają przyjaciele na wyścigi, siłąc się na jaknajprzyjemniejsze uśmiechy zadowolenia.

— Na samo pieczywo rano i wieczorem wydajemy z mężem przeszło 2 ruble! A teraz masło, a śmietana! Wszystko skacze z dnia na dzień!

I kąki ust ślicznie wykrojonych pani Karolowej podskakują również coraz rosnącą wesołością...

— Podobno cukru znowu ma nie być...

— A tak! — z radością wykrzykuje pan Antoni.

— Nie będzie napewno! — chichocze w takt przyjaciel.

Muzyka z barkaroli przechodzi na mazura. Koncert skończony!

Na placu wstaje nowy gwar.

— Nadzwyczajny doda — — —

— Dodatek nadzwy — — —

Oho...

Dawaj!

— Jest!...

— Co takiego?

— Rumunia!

— Co? Rumunia?!

— Wojna z Austryą!

Szykowna damulka nie może się dłużej powstrzymać — wybucha serdecznym, srebrnym śmiechem.

— Nie, wiecie, panowie — — —

Za dodatkiem nadzwyczajnym wali wśląd numer wieczorowy.

— Co tam znowu?

— Jeszcze jedna wojna!...

— Nieee... dajcie panowie spokój!...

Szykowna damulka stanowczo nie chce słuchać. Odfruva, szczerze rozba-wiona...

Nagle zatrzymuje się, odwraca się ku przyjaciółom i wskazując ręką przed siebie, woła z głębokim wzruszeniem w głosie:

— Nareszcie!...

— Co?...

— Otworzyli kinematografy!...

Niemniej wzruszeni spoglądają we wskazanym kierunku obaj przyjaciele.

Przed zaśnieciem, żując ostatniego irysa, rozmyśla pan Antoni nad ogromem i różnaitością przeżytych w ciągu dnia wrażeń:

Zelówki, losy szczęścia, koncert na placu, dwie wojny (od poniedziałku!), otwarcie kinematografów...

— Jednak, życie jest piękne — konstataje, krzywiąc się zlekka z nadmiaru spożytej słodyczy...

B. Gorcewński.

Wiktorya Cross.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

Najwyższe prawo.

4

POWIEŚĆ.

Postąpiła rozsądnie, mądrze, z godnością, jak zawsze, a on odszedł i została szanowaną powszechnie miss Sahib w swojej pięknej bungli i o! jakże w niej było samotnie i pusto.

Ale umysł jej, jasny, chłodny, trzeźwy umysł drwił z tych porywów serca.

„Czyż po to napełniłaś mnie nauką i wiedzą? — mówił. — Po to śleczłaś po nocach nad księgami, zbierając z nich mądrość, jak pszczoła miód, by połączyć swe życie z jakimś chetai-wallah, nie umiejącym ani czytać, ani pisać; by siedzieć na ziemi w lepiance i karmić jego dzieci? A ze mną cóż będzie? Jakiegoż mi tam pożywienia dostarczysz? Czy będziesz mogła czytać i studyować, gdy przyjdzie ci gotować obiad i zamiatć chatę? Byłaś zawsze intelektualistką; jesteś nadziana klasycyzmem i literaturą po koniuszczki palców; nie masz w sobie najmniejszych danych na strażniczkę kuchennego ognia, nie jesteś nawet zmysłowa; jak-

że więc będziesz mogła wieść życie codziennych „pospolitych, gospodarskich zajęć i kłopotów przy boku tego dzikiego, namiętnego krajowca?“.

Było coś tak udręczającego w tej myślowej rozterce, że aż pot kroplisty wystąpił na czoło dziewczyny.

Tydzień minął; Hamakhan nie pokazał się więcej.

Wyplatanie mat było skończone, nie miał już żadnego powodu przychodzić do bungli. Dora dziwiła się w duchu, że jednak nie wynalazł sobie jakiegoś pretekstu, żeby przyjść i zobaczyć ją, i spodziewała się, że wcześniej lub później uczyni to.

Tymczasem Hamakhan, pracując w dzień w domach Sahibów, błagając się wieczorami po bazarze, a nocą leżąc bezsennie i w gorączce, myślał wyłącznie o tej białej, dziecięcej twarzyczce i tej smukłej, wiotkiej postaci, ale nie było to w jego charakterze, w charakterze jego rasy wogóle, aby miał zbliżyć się do niej bez zachęty i bez jakiegokolwiek usprawiedliwionego powodu. Pragnął

ją widzieć i tęsknił za jej dotknięciem, jak tylko pierwsza młodość może pragnąć i tęsknić; ale nie przyszło mu nawet do głowy włóczyć się w pobliżu bungli, czatując na jakieś przypadkowe spotkanie, które może przyszkodzi mu okupić zniewagą ze strony służby lub samego sahiba.

Najwybitniejszą cechą charakteru Pathańczyków jest ich wygórowana duma i drażliwość i one nadają im tę godność obejścia i nieświadomie strzegą ich od postawienia się w sytuacji, mogącej narazić ich na lekceważenie lub obelgę, czego wprost nie potrafiliby znieść. To też Hamakhan chudł i mizerniał w bazarze, a Dora tęskniła i cierpiała w swojej bungli, lecz żadne nie uczyniło nic dla wzajemnego zbliżenia. Dora zwłaszcza stawała się z każdym dniem bleśszą i bardziej apatyczną. Gdzie tylko mogła, wymawiała się od zaproszeń, a gdy już koniecznie wypadło jej iść pomiędzy ludzi, obracała się wśród nich; jak senna, i co najprędzej wracała do domu. Światowe życie nudziło ją i męczyło zawsze, lecz nie wiedziała dokładnie, czego jej tam było brak; teraz, gdy zakosztowała tej niebezpiecznej, zakazanej rozkoszy, jaką daje obecność kochanej istoty, towarzystwo, spotykane na balach i obiadach, wydało jej się podwójnie czechem i ogłupiającem.

Och! gdyby mogła ogłosić światu swe zaręczyny z Hamakhanem, tak, jakby to miało miejsce, gdyby się zaręczyła z jakimś porucznikiem Smith'em lub Brown'em! Gdyby mogła posadzić przy sobie w powozie pięknego indyanina, zawieźć go do Klub-Deem i powiedzieć wobec wszystkich zgromadzonych tam kobiet i mężczyzn: „To jest mój narzeczony“!

— Ale nie — myślała gniewnie Dora, patrząc w gwiazdy. — Oni, którzy z otwartą ręką przyjęli by małego Smith'a wraz z jego chuderławą figurką i piegową twarzą, z jego długami i niezliczoną ilością *cock-tail'ów* *) i papierosów, okrzyknęliby się ze zgrozą, a kobiety pomdlałyby z oburzenia na myśl, że mogą pokochać i zaślubić Hamakhana z jego posagową postacią i twarzą półboga.

Wiedziała, że małżeństwo z nim w tem środowisku było niemożliwością. Cała europejska kolonia powstałaby przeciwko niej. Nie. Kochać tego Mahometamina, tego krajowca o brunatnej skórze, to znaczy-

ło: uciec z nim potajemnie i żyć w hańbie i wzdargie, a przeciw temu buntowała się dumna, w angielskich pojęciach wyhodowana dusza dziewczyny.

Dałaby wszystko, co było jej własnością, by móżdż kochać go i zaślubić w obliczu całego świata, ale wiedziała, że o tem nie może być mowy. Jawność była dla nich tem samym, co rozłąka. Po całych nocach leżała z otwartymi oczyma, lub po całych dniach siadywała, patrząc wprost przed siebie i rozmyślając.

W końcu tygodnia zapowiedziany był wielki obiad w kolonii. Generał i zamężna siostra Dory mieli wziąć w nim udział, Dora odmówiła.

— Co tobie jest, Doro? — zapytał ją ojciec, zauważywszy wreszcie jej śmiertelną bladeść i bezgraniczną apatję na wszystko, co ją otaczało.

Było to wieczorem, w przeddzień owego obiadu, Dora spoczywała w bujaku na opiętej pnączami werandzie. Walka była skończona, Dora postanowiła wziąć Pathańczyka do podręcznej usługi, i wydała już rozporządzenie kamerdynerowi, by go na następny dzień zamówił.

Bladość jej wynikała z wewnętrznego podniecenia, które było raczej bolesnem, niż przyjemnem. Usłyszawszy zapytanie ojca, podniosła na niego oczy i odrzekła z najśłodszymszym uśmiechem:

— Och! nie wiem. Jakieś chwilowe zmęczenie. To minie.

ROZDZIAŁ II.

Ucieczka.

Cała bungla Wilsonów tonęła w blaskach. Potok i światła lały się przez okna salonu na piasek dziedzińca; nawet weranda migotała blaskiem kolorowych, chińskich latarek, rozwieszonych wśród girland zieleni. Miss Wilson miała gości na obiedzie. Wewnątrz wspaniały salon wyglądał prześlicznie. Trzy olbrzymie, jarzące lampy zwieszały się na brązowych łańcuchach od wysokiego sfitu; po kątach zaś mniejsze lampy rzuciły różowawe światło na bogate draperye u okien i drzwi i na angielskie dywany, jak również na wielkie wschodnie wazy i tkaniny i srebrne, kaszmirskie wyroby. W al-kowie stał stolik do kart i tam też zgromadzili się wszyscy goście. Nie był to bowiem żaden wielki obiad, a tylko małe kółeczko najbliższych osób.

Generał, nieco cierpiący dnia tego, nie ukazał się nawet przy stole i wolał położyć się do łóżka o ósmej, zamiast bawić gości, wiedząc, że Dora da sobie doskonale radę bez niego.

Siedziała ona teraz przy karcianym stoliku, otoczona gośćmi i wyglądająca tak pięknie, jak tylko młoda, zdrowa i bogata kobieta wyglądać może. Obok niej stał jej szwagier — generał Harding, ożeniony z jej siostrą — przypatrując się grze; po drugiej stronie pułkownik Adeleston, mąż jej kuzynki Cecylii, która siedziała w głębi na bujaku, mając przy sobie wachlującego ją kapitana Andersona.

Siedzące przy stoliku cztery osoby grały w winta, a nie była to żadna poważna, w uroczystem milczeniu i skupieniu rozgrywana partya, lecz swobodna poobiednia partyjka, urozmaicona śmiechem i rozmową, jak się zwykle grywa z kobietami.

Thompson, jako partner Dory, siedział naprzeciwko niej, a jej siostra, Lola, i major Blount tworzyli drugą parę.

Thompson wyglądał blade tego wieczora i grał z roztargnieniem, spoglądając częściej na białe ramiona naprzeciwko siebie, niż w swoje karty.

Najbliżsi przyjaciele podżartowywali z niego, zarzucając mu brak odwagi.

— Mój drogi, — mówił — jesteś najlepszą partyą w kolonii, i panna poleci na ciebie, byleś tylko kiwnął palcem. Ale wiesz, co to za gatunek. Nie jest filirciarką, jak inne nasze panny. Chłodna, poważna, pozująca na westalkę. Może myśli, że to najpewniejszy sposób podbicia mężczyzny; ty jednak powinieneś mieć tyle przenikliwości, aby tego nie brać na seryo.

Miesiąc upłynął od chwili, gdy Dora, stojąc na werandzie, patrzyła za oddalającym się wyplataczem mat; trzy tygodnie, odkąd Hamakhan objął służbę w domu generała. Dora zgodziła go do osobistej, przygodnej posługi; wyznaczono mu jedną z niskich, krajowych lepianek, i sprawa była załatwiona.

Hamakhan pobierał dobrą pensję, był dobrze żywiony i odziany, ale w podobnych warunkach znajdowała się i reszta służby.

Obowiązkiem Hamakhana było utrzymywać w porządku salonik miss Sahib, okurzać i układać jej książki i roznosić listy, gdy specjalny posłaniec nie był pod ręką; a także wyplatać maty dla bungli, o ile tego zaszła potrzeba. Resztę czasu leżał przed chatą, próżnując lub ucząc się zadanej na następny dzień lekcji. Dora bowiem zaproponowała mu, że każde go uczęczy czytać i pisać po hindostańsku, na co bystry, ambitny chłopak przystał skwapliwie.

*) *Cock-tail*, napój, używany w tropikach przez Europejczyków, składający się z rumu lub dżynu, likierów i ubitego na pianę żółtka. (Przyp. tłum.).

Thompsonowi szalenie karta nie szła dnia tego, i, oczywiście, pocieszano go oklepanem przysłowiem, że „kto nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości”; oczywiście, również żartowano z Dory, że jest „bez serca”, gdy wygrywała i czyniono mnóstwo innych mniej lub więcej przezroczystych aluzji; a Dora uśmiechała się słodko, jakgdyby ją to ogromnie bawiło; w duszy zaś niecierpliwie wyglądała chwili rozjęcia się gości.

Skończono właśnie jedną grę i Thompson rozdawał karty na nowo, gdy w salonie dał się słyszeć lekki szmer i wszyscy mimowolnie spojrzeli w tamtą stronę.

— To zapewne moje obłaskawione oposum weszło przez okno — rzekła Dora, śmiejąc się i układając karty w rękę.

Ale to był Hamakhan. Wystroił się odświętnie i angielscy gracze siedzący w alkowie spoglądali na niego z osłupieniem, jak szedł przez salon, wyprostowany, lekkim, niedbałym krokiem królewicza. Bufiaste, białe spodnie opadały mu gładkimi fałdami na bosc stopy; zamiast codziennej bawełnianej, błękitnej opończy miał muślinową, złotem przetykaną tiunikę a na niej krótką żuawkę błyszczącą od złotych, czerwonych, zielonych i błękitnych haftów. Głowę owinał nowym szkarłatnym i również z złotem przetykanym turbanem, a z pośród tych wschodnich, jaskrawych wspaniałości wychylała się jego młodzieńcza, doskonale piękna twarz. Nagle ukazanie się tego świętego zjawiska w salonie wprawiło wszystkich sakibów w osłupienie. Ale trwało to tylko chwilę. Hamakhan wszedł do alkowy i oddał salaamy gościom, a spojrzawszy na stolik, zawołał zwracając się do Dory:

— Gracie w karty! Jabym także chciał pograć!

Pomiędzy Thompsonem a Lolą stało puste, złożone krzeselko. Hamakhan usiadł na niem, opierając plecy o poręcz, i z nieopisanym wdziękiem, który miał w sobie coś zabawnego, naśladował angielski sposób siedzenia.

— Teraz jestem jednym z gości Sahiba! — rzekł i wybuchnął wesołym, świeżym śmiechem, jakim tylko mogą się śmiać osiemnastoletnie usta. Przez ten czas angielskie towarzystwo ochłonęło ze zdumienia, które ustąpiło oburzeniu lub ciekawości, stosownie do temperamentu jednostek. Blount włożył zwolna monokl w oko i skierował go na miss Wilson; Thompson błady z gniewu aż zerwał się nawpół z krzesła.

— A to zuchwalec! — wykrzyknął i uczynił taki ruch, jakgdyby

chciał zepchnąć Hamakhana z krzeselka, ale miss Wilson zapobiegła temu.

— Panie Thompson — rzekła spokojnie, chociaż twarz jej zbładła jak płótno, a oczy pociemniały z gniewu — proszę, nie mieszaj się pan w tę sprawę.

Wiedziała, że Hamakhan był dośyc ustępliwym, jak większość krajowców, jeżeli się z nim obchodzono taktownie; lecz wiedziała również, że znieważony gotów będzie posunąć się do ostateczności. Szwagier Dory i pułkownik Rolleston patrzali na nią w milczeniu, siostra jej Lola zacierwieniła się, a Cecylia uśmiechnęła sarkastycznie. Blount nie spuszczał z niej oka.

— Jeżeli pan pozwoli temu człowikowi siedzieć w naszej obecności, to ja odejdę. — odparł Thompson, uniesiony instynktowną, zazdrośną wściekłością.

Dora spoglądała na niego z chłodną pogardą, a spojrzenie to zdawało się mówić wyraźnie: „Nie dbam zgoła o to, czy odejdiesz, czy nie”, poczem zwróciła się do Hamakhana, który spokojnie i w zamyśleniu przyglądał się Thompsonowi swemi powłóczytymi, wązkimi oczyma, i rzekła łagodnie po hindustańsku:

— Hamakhanie; wstań. Po co tu przyszedłeś?

Pathańczyk powstał posłusznie.

— Chciałem zobaczyć, co tu robisz z tymi gośćmi sahiba — odrzekł niskim, urażonym głosem.

— I zobaczyłeś, że jestem zajęta — odrzekła Dora, patrząc na niego z niewzruszonym spokojem i czując, że oczy wszystkich są na nią zwrócone. — Czy potrzebujecie czego?

— Niczego — wyszeptał Pathańczyk. Zaczynał rozumieć, że popelił coś niewłaściwego i ta wesoła próżność i nieopatrzna ciekawość, jakie go tu przywiodły, ustąpiły miejsca pomieszaniu i nieśmiałości. Wyglądał jak rozswawolony kotek, który pokornieje nagle i kulę się, gdy go pani wypędza z salonu.

— Gniewasz się na mnie? — zapytał potulnie.

— Nie, jeżeli wyjdiesz natychmiast — odparła Dora spokojnie — ale Blount widział, że pierś jej podnosi się ciężko, a drobne palce, trzymające karty, drżały nerwowo.

Hamakhan nie rzekł nic więcej. Oddał pożegnalne salaamy i wyszedł.

Dora zaśmiała się swobodnie, wruszając zlekka ramionami.

— Przepraszam państwa za to małe intermezzo — rzekła. — Gramy dalej? Już sobie poszedł.

— Jabym go kazał wyrzucić za drzwi, jak psa, gdyby był moim słu-

gą — zawołał Thompson, niezdolny pohamować swojego niewytłomaczonego gniewu.

— W takim razie, to bardzo szczęśliwie, że nie jest pańskim sługą — odparła Dora chłodno.

— Sługą! — szepnęła Cecylia sarkastycznie, bardzo cicho, dość jednak głośno, by ją major Blount usłyszał. Usłyszawszy, wycelował na nią monokl, a potem znów na jej kuzynkę.

— Nie; nie tam niema pomiędzy nim — pomyślał, obserwując chłodny, spokojny wyraz twarzy Dory. Wyglądała tak *correct*, tak nawskroś w angielskim stylu, z kartami w rękę i łokciem na stoliku.

— Czy cała służba pani nosi takie nadzwyczajne stroje, miss Wilson? — zapytał kapitan Anderson.

— O! nie — odparła Dora nie dbale. — Naturalnie, że nie. To są odświętne szaty Hamakhana. Nie dawno jest u mnie w służbie i nie zna jeszcze naszych angielskich zwyczajów.

— To widać — mruknął Thompson.

W parę godzin później Dora rozbiierała się zwolna w swojej sypialni. Zegar wskazywał dwunastą; termometr Fahrenheita na ścianie 100° powyżej zera. Wszystkie drzwi i okna stały otworem i widać było przez nie gwiazdy błyszczące na ciemnym niebie. Wspaniała konstelacja skorpionu zniżała się ku horyzontowi. Dookoła domu panowało głębokie milczenie. Najbliższy wietrzyk nie poruszał zwieszającą się z dachu werandy pnączami.

Dora rozbiierała się, nie myśląc ani o dusznym gorącu, ani o moskitach wirujących dookoła niej. Ogromna lampa, stojąca na obciążonym książkami stole, rzuciła snop żółtego światła na białe, prześliczne ramiona, trochę może za szczupłe, bo Dora zbyt wiele czytała i myślała, by móżdż utyć.

Zdjawszy suknię narzuciła na siebie biały, koronkowy szlafroczek, podbity błado-turkusowym jedwabiem; rozpuszczone włosy spadały jej złocistą falą na ramiona.

Nagle usłyszała coś, czego nawet szmerem nie można było nazwać, i drgnawszy, zwróciła głowę w tym kierunku. W otwartych, na werandę wychodzących drzwiach stał Hamakhan. Gdy wystraszone oczy Dory spoczęły na nim, wszedł swoim elastycznym, pewnym krokiem do wnętrza i stanął w pełnym świetle lampy. Nigdy majestatyczny wdźwięk jego postaci nie uwydatnił się bardziej, niż w tej chwili, kiedy cały zdawał się dyszeć namiętnością.

Światło lampy padało na jego szkarłatny zawój, na monarsze czoło i twarz klasyczną. Teraz twarz ta miała zupełnie inny wyraz, niż przed paru godzinami w alkwie salonu. Było coś nieugiętego w ściągniętych, królewskich brwiach, w dumnym rozdościu nozdrzy i złożeniu ust. Wydawał się jakby wyższy; wspaniała jego pierś podnosiła się i opadała ciężko pod bogato haftowaną tuniką; do kolumny podobna szyja pulsowała gwałtownie.

— Pocoś tu przyszedł? — szepnęła Dora cichym głosem, oglądając się z przestrachem na pootwierane okna i drzwi jej pokoju.

— Aby się pożegnać — odrzekł Pathańczyk spokojnie. — Jeżeli się nie mamy pobrać, musimy się pożegnać.

— Wszak przyrzekłam ci, Hama, że się pobierzemy, ale nie teraz — rzekła Dora błagalnym szepczeniem. — Za rok będę panią swojej woli. Wtedy się pobierzemy i opuścimy Indye. Czemuż nie poczekać cierpliwie?

— Nie mogę — odpowiedział cicho, ale stanowczo. — Nie mogę — powtórzył. — Wrócę do Pashawuru. Widok twój tutaj zabija mnie. Mam codzień gorączkę. Czuję, że umarłbym, gdyby to trwało dłużej. I pocóż mnie tu trzymasz? Kocham cię; pragnę cię mieć. Nie mogę czekać dłużej. Albo bądź moją, albo pozwól mi odejść. Tej nocy jeszcze odejdę.

Dora błada z rozpaczy na myśl, że może go utracić, postąpiła parę kroków ku niemu. Dwa krzeselka stały w pobliżu. Wskazała mu jedno z nich.

— Usiądź, Hama — rzekła łagodnie — i posłuchaj.

Hamakhan usiadł z właściwym mu swobodnym wdziękiem i czekał w milczeniu.

Dora, cała pochłonięta tem, co mu miała powiedzieć, zbierając wszystkie władze, by mózg nagiąć go do swojej woli, pochyliła się nieco ku niemu, opierając łokieć na kolanie.

— Hama! — zaczęła — ja —

Nagły, suchy odgłos stąpienia po matach werandy nie dał jej dokończyć. Oboje spojrzeli po za siebie. Olbrzymia postać generała zarysowała się na tle ciemności. Pathańczyk zerwał się na równe nogi z dzikim błyskiem w oczach. Generał postąpił ku niemu i chwycił go za ramię. Hamakhan próbował wyrwać się, ale nie mogąc tego dokazać, rzucił się swym giętkim ciałem na generała i pochwycił go za gardło. Dora zerwała się również z krzesła, lecz nie zdążyła podbiec. Generał z siłą bezgranicznej nienawiści i pogardy obu

rękoma ujął niby w kleszcze miotające się ciało przeciwnika i powłókł go ku otwartym drzwiom wiodącym na schody. Hamakhan był wysokim, prawie tak wysokim, jak generał; ale generał miał nad nim przewagę swej olbrzymiej tuszy, popartej siłą dojrzałości.

Z okrzykiem straszliwej trwogi Dora poskoczyła ku ojcu, zgadując jego zamiar, ale już było zapóźno. W szale wściekłości generał uderzył pięścią między oczy Hamakhana i zepchnął oszalonego ze schodów. Hamakhan spadł i leżał bez ruchu na wznak z ręką podwinęta pod plecy.

Dalszy ciąg nastąpi.



Wszeczmiłość.

Pan B. Litur napisał książkę liryczno-filozoficzną p. t. „Wszeczmiłość”. Zawarł w niej myśl o duszy, fragmenty z rozpraw „Filozofia, religia, nauka”, „Stanowisko bergsonizmu w filozofii współczesnej” oraz „Krytyka kierunków indywidualistycznych i kolektywistycznych w filozofii społecznej”. Cała książka nie przekracza ram 62 stron, co już wskazuje, że rozprawki i krytyki p. Litura są tylko indywidualistycznymi przyczynkami do jego psychiki, nastrojonej na ton szlachetny, ale nie pracami o zakroju naukowym. Dochód ze sprzedaży tej książeczki przeznaczył p. Litur na cele legionów, oraz na rzecz „Wyższych Kursów Naukowych”. Cel wzniosły — jak szlachetne są marzenia o wszeczmiłości p. Litura.

Wiadomości wstępne z geografii.

Prof. Tadeusz Radliński napisał bardzo pożyteczny podręcznik geografii dla szkół średnich. Jest to już drugi podręcznik pióra prof. Radlińskiego. W roku ubiegłym wydał kurs geografii p. t. „Pięć części świata pozaeuropejskich”, który spotkał się z bardzo gorącym przyjęciem wśród kół zainteresowanych. Sądzimy, że wiadomości wstępne z geografii, opracowane przez prof. Radlińskiego, spotkają się z niemniejszym uznaniem. Prof. Radliński w przedmowie pisze: „Geografia, do niedawna przedmiot o zadaniach ściśle rusyfikacyjnych, wykładany po rosyjsku i przez istinno-ruskich i prawosławnych nauczycieli — przedzierzgnąć się może we wspaniałe narzędzie rozbudzenia uświadomienia narodowego i społecznego przysłego obywatela kraju, niezależnie od jej zadań

pedagogicznych i ogólnoszkolących”. W tym też duchu został podręcznik celowo skonstruowany. Prof. Radliński o zamiarach swoich mówi wyraźnie: „Przystępując do opracowania niniejszego podręcznika, chodziło mi o nauczenie zjawisk geograficznych na podstawie przykładów własnego kraju; w ten sposób uczeń kraj swój poznaje, poznając zaś, uczy się go kochać i dbać o zaspojenie pałacnych potrzeb”. Rzecz ta udała się autorowi w zupełności. Dla szkół jest to podręcznik pożądany i bardzo pożyteczny.

W sprawie artykułu „Pierwsze napomnienie w Radzie Miejskiej”.

P. Pryłuckij nadsyła nam następujący list:

Szanowny Panie Redaktorze!

Umieszczona w Nr. 34 „Świata” notatka o mojej osobie zawiera szereg szczegółów nie odpowiadających rzeczywistości, a mianowicie:

1) W moim artykule, umieszczonym w „Momencie”, nie „wydrwiłem wszystkich słusznych żądań polskich, zawartych w deklaracji”, jak twierdzi autor wzmianki, lecz zrobiłem zastrzeżenie tylko co do jednego wyrazu, tyżającego się podźwignięcia gospodarstwa Warszawy „w duchu narodowym”, rozumiejąc pod tem określeniem, na podstawie faktów, wyrugowanie żydów.

2) Nieprawdą jest, jakobym „za czasów rosyjskich był państwowcem rosyjskim i jeszcze jako student podawał się za rosyjanina wyznania Mojżeszowego”. Jeszcze bowiem na ławie szkolnej uznawałem się za żyda, nietylko z wyznania, ale i z *narodowości*, gdyż byłem przeciwnikiem wszelkiej asymilacji. Przekonanie to wyrażałem na wiecach studenckich, i nikt z moich kolegów uniwersyteckich temu nie zaprzeczy. Z państwowością zaś rosyjską miałem tylko tyle wspólnego, że za udział w wiecu ogólnostudenckim odsiedziałem dwa miesiące na Pawiaku, później zaś zostałem wydany na Uniwersytetu warszawskiego, i do dnia 5 sierpnia 1915 roku policja warszawska odmawiała mi świadectwa „błagodatności”, ilekroć ono mi było potrzebne.

3) Zarzut, iż „zawsze z nienawiścią odnosiłem się do polskości”, jest zupełnie gołosłowny, i żaden z moich przeciwników nie jest w stanie choćby jednym przykładem ten wymysł udowodnić, zarówno w moim życiu publicznym, jak zawodowym.

Uprasząc Szanownego Redaktora o pomieszczenie niniejszego sprostowania w Jego poczytnym piśmie, stosownie do łaskawego przyrzeczenia, pozostaje z poważaniem
N. Pryłucki.

Zamieszczając list ten, nadmieniamy, że jednak p. Pryłucki w Radzie Miejskiej zachowaniem swoim ciągle podkreśla swoją niechęć do naszego społeczeństwa. Oświadczenie więc to nie zmienia w niczem postaci rzeczy.